

POCZĄTKI NOTARIATU W STARYM SĄCZU WSPOMNIENIA

Bartłomiej Celewicz*

Na stanowisko notariusza zostałem powołany 22 maja 1992 roku przez Ministra Sprawiedliwości, otrzymałem stosowne pismo z Ministerstwa Sprawiedliwości podpisane przez Podsekretarza Stanu Jadwigę Skórzewską-Łosiak, w którym wraz z powołaniem wyznaczono mi siedzibę w Starym Sączu. Przyrzeczenie składałem wtedy w Sądzie Apelacyjnym w Krakowie razem z kilkoma osobami, których nie pamiętam, a po pieczęć w sprawie przyspieszenia jej wydania jeździłem nawet do Państwowej Mennicy w Warszawie przy ul. Pereca.

Po otrzymaniu powołania zaraz zacząłem organizować kancelarię w Starym Sączu. Trzeba było wystarać się o biurka, szafy, regały, maszyny do pisania, no i pracowników. Ponieważ mieszkałem w Nowym Sączu, ok. 10 km od Starego Sącza, nie było to takie proste, mieszkała tam wcześniej moja rodzina przez kilka pokoleń, ale ostatni mieszkający tam krewny Stanisław Celewicz, sędzia sądu grodzkiego, zmarł w latach 60.

Wcześniej zastanawiałem się, gdzie wynająć lokal na prowadzenie kancelarii w Starym Sączu; początkowo myślałem o wolnych pomieszczeniach w Urzędzie Miejskim. Spotkałem się z wielką przychylnością i pomocą władz

samorządowych Starego Sącza, Pana Burmistrza Macieja Szufflickiego i jego zastępcy Pana Jana Kupczaka, którym zależało, aby takie biuro powstało. Wszak w latach 60. w Starym Sączu na ul. Daszyńskiego było już biuro notarialne, którym kierował notariusz Czubryt, a tam aplikację odbywał mój Tata Jan Celewicz. Ponieważ w gestii Urzędu Miejskiego był budynek po przedsiębiorstwie komunalnym w pobliżu Urzędu Miejskiego przy ul. Krakowskiej, zaproponowali mi wynajęcie części piętara o powierzchni 48 m. kw. na prowadzenie kancelarii. Miejsce było idealne, bo była tam jeszcze poczekalnia, na parterze były jakieś biura obsługi mieszkańców, jakaś spółka, a także przed budynkiem był parking dla klientów, a dla użytkowników budynku był parking na zapleczu budynku. Najważniejsze, że mogłem mieć klucze do tego budynku, przychodzić tam, kiedy chciałem, a także urzędować do wieczora; oczywiście był też system alarmowy. Jeszcze w kwietniu 1992 roku podpisałem wstępną umowę najmu z Zarządem Miasta Starego Sącza.

Co do pracowników, to jedna osoba pracowała w gospodarce komunalnej i znała się na kadrach i księgowości, druga osoba była pracownikiem Urzędu Stanu Cywilnego w Starym Sączu, więc znała wszystkich w miasteczku

* Notariusz w Nowym Sączu

i okolicy. Panie po wstępnym szkoleniu potrafiły przyjąć klientów, wiedziały, jakie dokumenty będą potrzebne do sporządzania umów, umiały pisać na maszynie, ale akty notarialne, poświadczenia i inne dokumenty pisałem sam lub dyktowałem.

Ksero udało się kupić jakieś używane, długo nie pochodziło, ale był z niego jakiś pożytek. Maszyny mieliśmy takie porządne, mechaniczne, też używane, jedna była elektryczna i nie trzeba było ręką cofać wałka. Hitem stały się wchodzące na rynek maszyny marki „Optima”, które miały pamięć i można było na małym ekraniku poprawić wstecz jakieś błędy pisarskie, tyle że to trwało trochę. W tym czasie nie spieszyło się nam i spełniały one swoje zadanie. Były lekkie i można było je spokojnie nieść parę kilometrów, gdy się przytrafiły jakieś umowy wyjazdowe.

Pamiętam, że kiedyś poszliśmy z pracownikiem do czynności na wieś w okolice miejscowości Obidza. Zostawiliśmy samochód na dole, w umówionym miejscu wyszedł po nas gospodarz i szliśmy spory kawałek pod górę na przełęcz Przysłop. Drewniany dom stał w górach na końcu wsi pod lasem. Kiedy doszliśmy, czekała na nas cała rodzina, rodzice, dzieci i wnuki, miało to być przekazanie gospodarstwa rolnego. Pech chciał, że wyłączyli prąd, a te Optimy pracowały na prądzie. Czekaliśmy więc jedną godzinę, drugą godzinę. Przeważnie gospodarze częstowali w takich okazjach jakimś posiłkiem. Zjedliśmy więc obiad. Na szczęście włączyli prąd i zaczęliśmy naszą pracę. Umowy pisało się tak, że na podstawie wcześniejszych dokumentów, jak odpisy z ksiąg wieczystych, mapki geodezyjne, wykazy zmian gruntowych i innych, które dali mi gospodarze, pisało się umowę „na żywo”. Ja

dyktowałem, a pracownik pisał. Strony umowy przysłuchiwały się temu wszystkiemu cały czas i czasem zadawały pytania, a nawet czyniono nowe uzgodnienia, w przerwie wychodziło się na papierosa z gospodarzem, który ponarzekał na życie i na żonę i na dzieci. Trzeba było mieć ze sobą przepisy podatkowe, kalkulator, żeby liczyć na bieżąco, jakie będą opłaty. W końcu pisanie dochodziło do końca, uwagę zwracały naliczone opłaty i kończyliśmy sakramentalnym „Akt ten odczytano, przyjęto i podpisano”. Następnie czytałem ten akt w całości, mimo że wszyscy wiedzieli, co tam jest napisane, a ja sprawdzałem, czy nie ma błędów pisarskich. Po podpisaniu pobieraliśmy opłaty, wypisy wtedy wydawało się następnego dnia w kancelarii. Schodziliśmy z gór już wieczorem do samochodu i wracaliśmy wtedy przeważnie do biura po ciemku.

Co do mebli, to o tyle było łatwiej, gdyż urzędowałem w biurach likwidowanego Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Starym Sączu i zwróciłem się do likwidatora o sprzedaż takich. Również otrzymałem kasę pancerną, której na dobrą sprawę nikt nie chciał. Była to kasa z czasów śp. Franciszka Józefa, a więc wykonana z odlewu żeliwnego, w środku płyta stalowa, a pomiędzy nimi piasek, pewnie była przeciwpożarowa. Kluczyk do jej zamka był jeden, bo reszta pogubiona, ale był dziwny i nietypowy. Ta kasa była tak ciężka, że żeby ją przenieść, trzeba było pięciu „chtopa”. Jak się przenosiłem ze Starego Sącza, to chciałem ją zabrać, ale ze względu na wagę nie dałem rady.

Numer telefonu otrzymałem też spadkowy z tego przedsiębiorstwa, zwróciłem się na początku czerwca do Telekomunikacji

Polskiej SA Zakładu Telekomunikacyjnego w Nowym Sączu o przekazanie numeru telefonicznego i go dostałem. Z numerem telefonu wiązały się jednak obowiązki. Obok budynku była remiza ochotniczej straży pożarnej i kiedy dzwonił telefon od dyspozytora numeru alarmowego z informacją o pożarze, to trzeba było od razu „lecieć” do budynku remizy i dzwonić na alarm. Był taki przycisk na budynku remizy i trzeba było go naciskać przez chwilę, a wtedy włączała się syrena alarmowa, a potem drugi raz nacisnąć, żeby wyłączyć sygnał – i tak trzy razy. Po pierwszym sygnale przybiegał jeden strażak, potem drugi, a już przy trzecim było ich więcej. Mieszkali w pobliżu i cały czas musieli być gotowi do akcji. Wsiadali do dużego „wozu bojowego” i wyjeżdżali na sygnale z remizy. Początkowo wybiegały moje Panie z sekretariatu, ale potem wybiegałem i ja, żeby włączać ten sygnał. Czułem się wtedy ważny.

Następnymi czynnościami przygotowawczymi do uruchomienia kancelarii było otwarcie rachunku bankowego. Najbliższym bankiem był Bank Spółdzielczy przy ul. Daszyńskiego. Na początku chodziłem sam z wpłatami pieniędzy, ale potem chodziła jedna Pani z sekretariatu, też sama, gdyż mieszkała opodal tego banku. Przy większej gotówce do wpłaty w banku chodziliśmy we dwoje, bo bałem się, że może ktoś na samotną Panią napaść, nawet rozważałem zakupienie jakichś środków obrony osobistej. Bank był wykończony w zielonym marmurze i było tam raczej surowo. W budynku banku, przed wojną, na piętrze mieszkał mój Tata Jan Celewicz, kiedy był jeszcze małym chłopczykiem i opowiadał, że z balkonu było widać stację kolejową,

a szczególnie zainteresowanie wzbudzał pociąg Luxtorpeda, który podążał do Krynicy-Zdroju.

Oprócz rachunku bankowego zgłosiłem ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej w firmie PUNARD, wtedy jeszcze nie było potrzebne zgłoszenie rejestracyjne podatku VAT ani zgłoszenie REGON w Limanowej.

Kiedy już było wszystko gotowe, zawiadomiłem Ministra Sprawiedliwości o rozpoczęciu prowadzenia kancelarii w Starym Sączu od 1 lipca 1992 roku. Jak to było dawno...

Zacząłem wstępnie zapoznawać się ze sprawami, które będę załatwiał. Wiedziałem, że na pewno będzie to przede wszystkim obrót nieruchomościami rolnymi, gospodarstwami rolnymi, działkami budowlanymi, budynkami mieszkalnymi, „spółdzielczymi mieszkaniami i garażami”, spadki, testamenty, zapisy, hipoteki, poświadczenia dokumentów i temu podobne. Również gmina Miasta Starego Sącza liczyła na załatwianie wszystkich spraw na miejscu, żeby nie jeździć do Nowego Sącza. W rejonie Starego Sącza funkcjonowało specyficzne nazewnictwo niektórych czynności prawnych. I tak testament nazywano „destament”, a przeprowadzenie spadku nazywano „obsygnacją”, mnie nazywano „notareusz”. Po jakimś czasie wiedziałem już, jak rozmawiać z klientami i o co im chodzi. Co do aktów własności ziemi udało mi się po pewnym czasie dojść do perfekcji, przeważnie ludzie trzymali je w domu i wcale nie przejmowali się, że nie mają ujawnionego prawa w księgach wieczystych. Jadąc do pracy z Nowego Sącza zabierałem akty notarialne do Sądu, ale też robiłem badanie ksiąg wieczystych i gruntowych w archiwum. Wtedy nasze stosunki z sędziami

hipotecznymi i pracownikami ksiąg wieczystych były bardzo poprawne, a niekiedy przyjacielskie. Jeżeli coś się źle napisało, to sędziowie nie robili zaraz odmowy wpisu, ale można było to jeszcze poprawić. Trochę wtedy wszyscy uczyliśmy się, jak ma wyglądać ta współpraca.

Wracając do aktów własności ziemi, raz przyszła pewna kobieta i przyniosła dość sformatowany i złożony na czworo dokument; kiedy go rozłożyłem, okazało się że, jest w jednym miejscu przedziurawiony lub wygryziony i brakuje jednej działki. Pytam się jej, co się stało, że jest ta dziurka i nic nie widać, co tam było, a ona mówi: „No panie rejencie, tę działkę wygryzły myszy”. Ostatecznie udało się jej otrzymać kopię tego aktu z gminy i można było dokonać czynności.

Zanim jednak nastąpiło otwarcie mojej kancelarii notarialnej, została zorganizowana przez krakowską Apelację konferencja naukowa wspólnie z sędziami hipotecznymi, której zadaniem było ujednoczenie i wypracowanie wspólnego postępowania w sprawach wniosków o wpisy w księgach wieczystych, oraz lepsze poznanie się środowiska notarialno-sądowego, chociaż jeszcze parę miesięcy temu pracowaliśmy razem w PBN przy jednych biurkach. Odbyła się ona w Sielpi w województwie kieleckim, o ile się nie mylę w czerwcu 1992 roku.

Kancelarię notarialną otworzyłem dopiero 1 lipca 1992 roku, a więc jeszcze nie byłem w pełni notariuszem, ale postanowiłem pojechać, żeby zapoznać się ze środowiskiem. Zabrał mnie samochodem Stasiu Ciągło, miał wtedy Forda Sierrę – porządny samochód, jechało jeszcze kilka osób. W Sielpi warunki nie były najlepsze, był to ośrodek OSIR położony

w lesie, pamiętam, że w łazience woda była czasami koloru lekko brązowego. Nie zachował się program tej konferencji ani nie udało mi się teraz zdobyć jej programu. Znałem tylko kolegów i koleżanki z naszego powiatu nowosądeckiego i sąsiednich, a ponadto nikogo więcej.

Były jakieś wykłady i dyskusje, poznałem między innymi Waldka Salagierskiego, który poruszał wtedy ważne problemy w czasie obrad, oraz Jurka Michalaka. Prezesem był wtedy Władysław Knuplerz, który był bardzo szanowany przez wszystkich notariuszy, jego prezesura miała bardziej charakter ojcowski niż formalny, w ogóle wtedy wydawało mi się, że środowisko notarialne jest jak jedna rodzina, w której w razie jakiś problemów wystarczyło że Prezes zwrócił grzecznie uwagę, upomniał lub huknął, i problemu, który nadawałby się do postępowania dyscyplinarnego, nie było.

Ja byłem po egzaminie sędziowskim, po egzaminie radcowskim i pracowałem przedtem w korporacji radców prawnych, ale muszę tu powiedzieć, że w porównaniu z poprzednim zawodem radcy prawnego to poziom takich konferencji notarialnych był znacznie wyższy. Podobały mi się wypowiedzi notariuszy i taka wnikliwość w drążeniu tematów nigdzie poprzednio niespotykana, a także duża wiedza notariuszy. Siedziałem na tej konferencji i słuchałem z zapartych tchem, a także pilnie notowałem wszystko, co było omawiane, to samo było na następnych konferencjach.

Trzeba przyznać, że notariusze też lubili się dobrze bawić, mieli talenty muzyczne, artystyczne i aktorskie. Zaraz po pierwszym dniu było zorganizowane ognisko, po pieczeniu

kielbas i innych smakołyków okazało się, że Andrzej Krzaklewski ma gitarę, a więc rozpoczęły się śpiewy znanych nam piosenek, od biesiadnych po patriotyczne. Trzeba powiedzieć, że nasze pokolenie lubiło śpiewać przy akompaniamencie gitary, był sławny śpiewnik Politechniki Krakowskiej, w którym były wszystkie znane słowa i nasze spotkania przy ognisku czy przy stole zawsze kończyły się śpiewem. Teraz w XXI wieku tego już nie ma.

W pewnym momencie Andrzej zmęczony przestał grać i wtedy zabrałem mu gitarę i dalej już grałem sam. Andrzej był trochę zdziwiony, że jeszcze ktoś umie grać. Ktoś miał śpiewniki, które były pomocne, i tak impreza się rozkręcała dalej. Koleżanki i koledzy rejenci podtrzymywali śpiewanie, czasem znali jeszcze inne przyśpiewki, a ja cały czas grałem i tylko chuchałem na coraz bardziej obolałe palce. Pytali się przy tym, kto ja jestem, a przeważnie odpowiedzią było: „to jest syn Jasia Celewicza”. Pamiętam, że nawet gdy później towarzystwo się rozchodziło, cały czas była grupa, która mówiła: „Bartek graj jeszcze, Bartek graj jeszcze”. Tak minęła północ, a my dalej, już w okrojonym składzie, śpiewaliśmy. Im później, to melodie były bardziej melancholijne, cichsze i w pewnym momencie zobaczyliśmy, że świta, a ognisko prawie dogasa. Pozbieraliśmy się więc i poszliśmy do swoich pokoi.

Tak wyglądał mój chrzest w „Rodzinie notarialnej” i myślę, że zostałem przyjęty i zaakceptowany. Na każdej następnej konferencji notarialnej przy spotkaniu z Prezesem Knuplerzem pierwsze pytanie brzmiało: „Gitarę masz?”. Odpowiadałem, że jest. Czuję się na obowiązku zabrać instrument. I mimo że na

konferencjach występowały zespoły muzyczne, ludowe i inne kapele, to zawsze po ich występach w gronie miłośników gitary i śpiewu spotykaliśmy się, żeby wspólnie pomuzykować.

Pamiętam, że raz w Rytrze na jednej z konferencji w Perle Południa, to było po kolacji, Andrzej Krzaklewski, mój Tata i ja zrobiliśmy występ ze znanych piosenek, w składzie zespołu: mój Tata grał na harmonii, Andrzej Krzaklewski na skrzypcach, a ja na gitarze akustycznej. Było trochę zimno, ale wszyscy dobrze się bawili i nawet były tańce. Myślę, że to był ten pierwszy Rejent Band, czyli muzyczny zespół notarialny.

Takie to były moje początki notariatu w Starym Sączu. Na początku pracy nie było dużo, dlatego staraliśmy się załatwiać każde sprawy. Bywały dni, że przychodziło zaledwie kilka osób, kancelaria pracowała po 15.00 i nieraz w soboty, ale cierpliwie czekałem. Otwarłem wszakże kancelarię w miejscowości, gdzie jej nie było kilkadziesiąt lat. W miarę upływu czasu przybywało klientów ze Starego Sącza i okolicznych miejscowości, ale tak naprawdę kancelaria zaczęła funkcjonować na pełnych obrotach dopiero po dwóch latach, kiedy moją postawą, uprzejmością i odpowiednim podejściem do klientów udało mi się ich przekonać, żeby załatwiali sprawy w Starym Sączu.

Cały czas nabierałem doświadczenia i uczyłem się. Główną rolę w tym miał mój Tata Jan Celewicz, długoletni notariusz, a także dużo mi dała pierwsza wizytacja notariusz Lucyny Barbary Bukowskiej, od której otrzymałem wiele cennych uwag i wskazówek na temat prawidłowego prowadzenia kancelarii

i dokonywania czynności notarialnych, za co jestem Jej do dnia dzisiejszego bardzo wdzięczny.

Tak się składa, że zbliżam się już do wieku emerytalnego i za niedługo przestanę czynnie prowadzić kancelarię notarialną. Udało mi się wychować i przekonać do tego zawodu w rodzinie trzecie pokolenie notariuszy, którym są moje dzieci – Tadeusz prowadzący kancelarię w Wieliczce, oraz Katarzyna, prowadząca kancelarię razem ze mną w Spółce w Nowym Sączu. I tak patrząc na nich, widzę, że wiele praktyk i doświadczenia notarialnego nie da się przekazać w formie książkowej lub teoretycznie, da się to zrobić praktycznie wymieniając doświadczenie i szczegółową wiedzę na żywo, w czasie pracy i w czasie rozwiązywania problemów prawnych i notarialnych. To samo w drugą stronę – jestem bogatszy o ich doświadczenia i praktykę, gdyż tym wymieniamy się na co dzień, oraz cenię ich inne spojrzenie na problemy prawne.